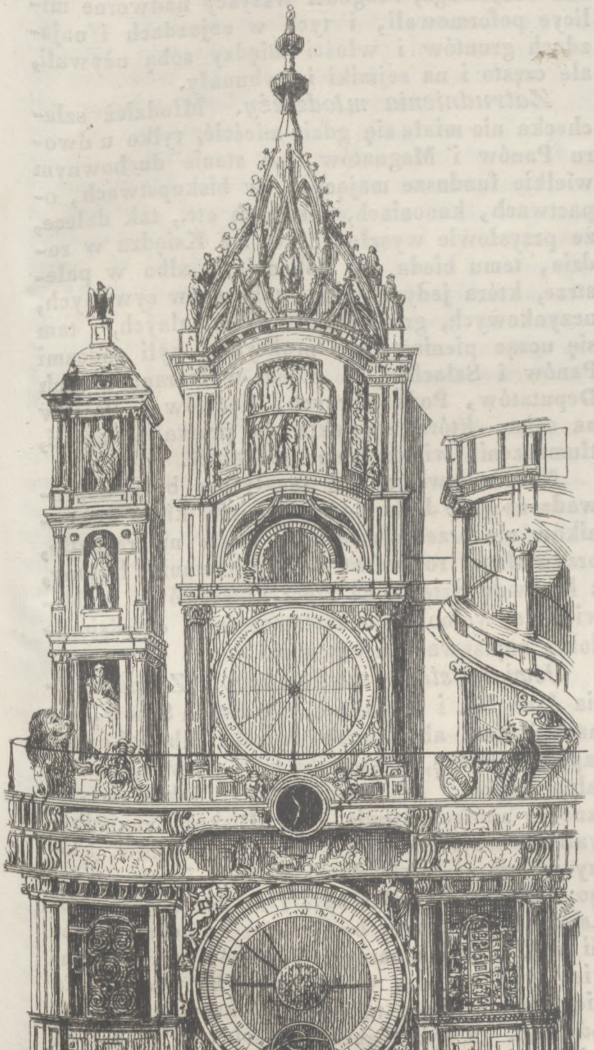
Przyjaciel Ludu.

ROK DWUNASTY. **No. 18.** **Leszno, dnia 1. Listopada 1845.**



Zegar astronomiczny w kościele katedralnym w Strasburgu.



Ambona w kościele katedralnym w Strasburgu.

Panowanie Augusta III. i ówczesne obyczaje.

(Ciąg dalszy.)

Pojedynek Tarła z Poniatowskim. W Warszawie pod niebytność dworu, pod ten czas w Dreznie rezydującego, zaproszoną została Lubomirska, Wojewodzina krakowska, z córką na bal; ta była żoną mieszczanina krakowskiego, którą Książę Lubomirski, Wojew. krak., rozwiódłszy, ożenił się, i spłodził Kaspra syna, i Annę córkę. Tam przybywszy Tarło, Wojewoda lubelski, wziął w taniec polski w pierwszą parę jéj córkę. Damy partyi Czartoryskich obraziły się, że Tarło córkę rozwódki poważył się wziąść w taniec w pierwszą parę. Przykazały tedy matki

swoim córkom, by się nie ważyły tańczyć z Tarłem. Tarło nie wiedząc o téj przeciwko sobie zmowie, a bardziéj jeszcze przeciwko Wojewodziance krakowskiéj i jéj matce, jako rozwódce, chodził po kolei, prosząc w tańce panny; każda się wymawiała, że jest zamówioną od innego kawalera; a stanąwszy przy pannie Poniatowskiéj, zrodzonéj z Księżniczki Czartoryskiéj, że i ta odmówiła z nim tańczyć, postrzegł się, że to odmawianie panien jest inspirowane od matek partyi Czartoryskich, jemu nieprzyjaznych, głośno tedy na tym balu do wszystkich odezwał się: „że kto ośmieli się z tą panną tańczyć, zemną będzie miał do czynienia.“ Po tém oświadczeniu, gdy żaden z kawalerów nie prosił panny Poniatowskiéj w taniec, matka jéj kazała tańczyć Kaźmierzowi synowi z siostrą, który, gdy się opierał, policzkiem, danym mu przez matkę na balu, do tańczenia zmuszonym został.

Ta okoliczność była powodem owego sławnego i nieszczęśliwego pojedynku dla Tarła, powszechnie kochanego i lubionego.

Nim pojedynek nastąpił, ze strony Czartoryskich porozrzucano paszkwile na Tarła, chcąc osłabić o nim w publiczności opinią, czego jednak nie dokazano, bo Tarło był postaci pięknéj, ugrzeczniony, w wojsku francuzkiém zasłużył sobie rangę Generała, miał talentów wiele, był młody, a przyjemnością w obcowaniu wszystkich sobie ujmował, zgoła, była to osoba, któréj się Czartoryscy bali.

Plac przez sekundantów między Wilanowem a Warszawą oznaczonym został, i umówiono, by strony na koniu po parze pistoletów do siebie wystrzeliły, a w przypadku chybienia, z koni pozsiadawszy, do szpad się wzięli.

Podług tego ułożenia przez sekundantów, gdy się pojedynkując chybili, pozsiadawszy z koni, dobyli szpad. — Tarło dobył z kieszeni paszkwile, i te razem, gdy złożył, przebił szpadą, i na szpadzie je zostawiwszy, rzekł do Poniatowskiego: „te pisma niegodziwe, pełne fałszu i czernidła, w gardło ci wbiję;“ i za piérwszém złożeniem się, przeszył Poniatowskiego na wylot, w samém pchnięciu wyrzekłszy: „Oto masz.“ — Wszyscy, co byli temu pojedynkowi przytomni, zgodzili się na jedno, a szczególnie Teper bankier, człowiek stary, nieinteresowany, wiary godzien, ktören, gdy mi czynił relacyą, powiedział, że o kilkanaście kroków stał na koniu od pojedynkujących się, że słyszał wymawiane słowa od Tarły, widział przebicie szpadą Poniatowskiego, i ruszył koniem ku Warszawie, chcąc być piérwszym donosicielem o skutku tego pojedynku; i właśnie gdy opowiadał przyjaciołom swoim, że Poniatowski zginął, przybyli później z placu (z zadziwieniem Tepera) mówili, że Tarło zginął, którego Teper zdrowego na placu zostawił.

Cała publiczność twierdziła, że Tarło od blisko przy nim stojącego sekundanta Poniatowskiego, oficera Korfa, w ten czas gdy pchnął szpadą Poniatowskiego, z boku od Korfa został pchnięty i zabity. Nawet partya Czartoryskich, zasłaniając występek Korfa, nie przypisywała zręczności pojedynku Poniatowskiego, ale utrzymywała, że Tarło wyciągnąwszy się w swém pchnięciu, padł na szpadę Poniatowskiego i śmiertelny raz otrzymał.

O sile zbrojnéj krajowéj. Po zwinieniu wojska krajowego, Magnaci wszyscy nadworne milicye poformowali, i tych w zajazdach i najazdach gruntów i włości między sobą używali, ale często i na sejmiki i trybunały.

Zatrudnienia młodzieży. Młodzież szlachecka nie miała się gdzie mieścić, tylko u dworu Panów i Magnatów, w stanie duchownym wielkie fundusze mającym, w biskupstwach, opactwach, kanoniach, zakonach etc., tak dalece, że przysłowie wyszło: „Kto ma Księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie,“ albo w palestrze, która jedynie znała tok spraw cywilnych, uczynkowych, granicznych i kryminalnych, i tam się ucząc pieniactwa z praktyki, byli radcami Panów i Szlachty, a potém wybierano z nich Deputatów, Podkomorzych, Sędziów i Posłów na sejm, którzy projekta do prawa podawali, tłumaczeniu wielorakiemu ulegające.

Nabożeństwo aż do fanatyzmu było doprowadzone; nie było domu, gdzieby kilku zakonników nie przesiadywało, i onym nie rządziło, przywodząc rodziców do alienowania fortuny, z krzywdą dzieci, na rzecz klasztorów, osobliwie, że wolno było testamentem i dziedziczne dobra zapisywać duchownym.

Oświata stanu duchownego. Za panowania Jana III. i Augustów, obydwóch Sasów, nie masz śladu, aby ktören świecki lub zakonnik napisał książkę, w któréjby była prawdziwa moralna nauka, lub uczące rzeczy jakie pożyteczne w społeczeństwie. (*) Biskupi zaniedbywali edukacyi Księży świeckich, Kleryków, którzy wyszli ze szkół do Jezuitów, nic nie umiejąc; seminaryów mało było i te bez dozoru. Ci Księża lepiéj uczeni byli, którzy słuchali teologii u XX. Missyonarzy i Teatynów w Warszawie; tych zaś nie wiele było, bo trzeba było mieć do odebrania takowéj edukacyi majętnych rodziców. Księża Grecko-Uniaci tém ciemniejsi byli, to jest: Popi, czyli Parochowie; ci ledwie że czytać umieli Psałterz i Mszał, ni moralnéj teologii, ni zasad wiary bynajmniéj nie znali, pełni zabobonności i przesądów, do szkół jezuickich nie chodzili, bo tam po rusku nie uczyli, i mało ich było; mieli to uczyć Bazylianie młodzież powołaną do stanu duchownego, ale tego nie czynili, bo chcieli naśladować Jezuitów w uczeniu młodzieży. Między Popami, czyli Paro-

(*) Że M..... w tém miejscu myli się, dosyć jest przytoczyć Stanisława Konarskiego, Pijara; Bohomolca, Wyrwicza i t. d.

chami uniackimi, prawie nie było Szlachty. Popi po większéj części byli poddani z tych wsi, w których Parochami zostawali.

Najprzód chłopi majętniejsi oddawali na naukę swe dzieci do periosławskiego i kijowskiego monasterów, gdzie się na Popów formowali Popowicze kraju rossyjskiego. Tam się nauczywszy czytać i śpiewać, służby i psałterzów, w zwyż wspomnionych miastach wyświęcali się, lub na Wołoszczyznie; potém powróciwszy do domów, gromady prezentowały ich Komisarzom na parochów do wsiów swoich, a Komisarze mając pańskie blankiety na prezenty, zapisywali one, za opłaceniem się albo ojca, albo całéj gromady; a Dziekani i Oficyałowie od Metropolity postanowieni, installowali ich, nie zważając, że w Kijowie, Periosławie, lub na Wołoszczyznie edukowani i na Popów wyświęceni byli, tak dalece, że między Popem, Diakiem i chłopem, w nauce religijnéj i w obyczajach widocznéj różnicy nie było. Jeżeli któren więcéj oświecony znajdował się, to tylko z Oficyałów, co się we Lwowie, lub w Poczajowie u Bazylianów edukowali.

Żeby w początku ostatniego wieku dziedzice, którzy spadkiem po żonach i przez kolbuszowską tranzakcyą pobrali majętności w Ukrainie i na Wołyniu, jako to ordynacyą ostroską, dobra po Koniecpolskich, Książętach Wiśniowieckich, Zbarawskich, Kalinowskich i Wyhowskich, co cały prawie Wołyń i Ukrainę zajmowały, prócz Starostw, jako to: Lubomirscy, Potoccy, Czartoryscy, Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Jabłonowscy, nadając słobody na osadzenie wsiów, na pustych stepach i uroczyskach rozległych, byli fundowali kościoły łacińskie po miasteczkach i wsiach, a nie cerkwie unickie, i te kościoły przyzwoicie uposażali, w ten czas Szlachta biedniejsza, przenosząca się z całéj Polski i chłopi na te słobody, nie byliby przechodzili z rytu łacińskiego na obrządek grecko-unicki, co czynić musieli dla braku kościołów i duchowieństwa łacińskiego obrządku. Nie byliby się porobili tak niemoralni i ciemni w dogmatach religijnych, jak ich zastałem, tego mamy przykład w kluczu i miasteczku Proskirowie, które osadzone przez Mazurów, z Mazowsza sprowadzonych przed kilku wiekami, dotąd utrzymują język mazowiecki i obrządek łaciński, i oświeceńsi są od innych gmin Ukrainy.

Z Magnatów żaden nie mieszkał w Ukrainie, i całe tu życie nie był; przez Komisarzy najwięcéj dobrami rządzili, nie dbając o dobro polityczne, woleli, by w ich osadach budowały się cerkwie, a nie kościoły łacińskie, bo cerkwie nic ich nie kosztowały, prócz drzewa danego gromadzie na pobudowanie, gdy tymczasem wyposażenie kościoła łacińskiego jest kosztowne. — Wszystkie tedy bunty z niedbałości Biskupów, w oświeceniu duchowieństwa i ludu przypisać należy. — Metropolity polskiego grecko-unickiego nie tylko chłop, ale i paroch żaden nie znał i celebrującego nie widział, bo mieszkał o 60 mil od tego kraju; — wiedział tylko każden Pop o nim, gdy mu płacić przychodziło nałożony przez niego podatek, *katedralny* zwany. Pisali Księża panegiryki, pełne podchlebstw, książki do nabożeństwa dziwaczne i śmieszne, żywoty świętych Polaków, a świętych dla tego, że klasztory fundowali, ogłaszali cuda i zjawienia, n. p.: jakoby jednéj figurze Pana Jezusa w Kcyni, w Wielkiéj-Polsce, włosy rosły, i że je co rok ustrzygać muszą; u Dominikanów w Poznaniu, że zęby rosną; a w innych miejscach, że płacze. — W Gosławicach, w Województwie gnieźnieńskiém, mając Proboszcz Kollatora łatwowiernego, mało oświeconego, Pana Łąckiego, Podkomorzego kaliskiego, skomponował historyą, jakoby Lubrański, zmarły przeszły dziedzic Gosławic, na koniu ognistym w nocy przez sufit w izbie jego stanął i mówił, żeby powiedział dziedzicowi, by fundusz wrócił na utrzymanie pięciu Księży do jego kościoła, bo inaczéj Lubrański, za zaniedbanie tego funduszu, dotychczas w czyscu zostaje; — ten Ksiądz mówiąc do Lubrańskiego, że wiary mu nie dadzą o tém zjawieniu, zapewnił Łąckiego, że Lubrański obiecał w téj postaci, w jakiéj mu się pokazał, stanąć na Komissyi; jakoż Łącki u Prymasa Łubieńskiego Komissyą wyrobił; — jam widział i czytał książkę in 4to, opisującą to zjawienie; potém Łącki o ten fundusz ułożył się z Proboszczem, i Komissya, jako już niepotrzebna, upadła.

Nie było domu magnatów lub majętnego obywatela, żeby po śmierci Pana lub Pani dusza nie pokazywała się, to Księżom, to sługom obojga płci, to zakonnikom bawiącym w tym domu, i nie żądała, by sukcessorowie czynili fundusze, i hojne ekspensy na nabożeństwa ku poratowaniu jéj zbawienia; częstokroć te dusze zostawiały znaki wypalonéj na stołach ręki, i straszyły swém pokazywaniem się ludzi, i kobiety łatwowierne i bojaźliwe.

Obywatele, przykładem Augusta III., bawili się polowaniem, a żony ich jeździły z odpustu na odpust, odwiedzając miejsca cudowne; miały one na czele Księdza, a lud z chorągwiami, z różnych klass złożony, wraz z żebrakami i kalekami, z wszech stron zebrany, im towarzyszył.

Na każdym odpuście w kościele widzieć można było opętanych, krzyczących głosem przeraźliwym, i po kilka słów mówiących różnemi językami, napastujących kobiety, które postraszone mdlały, lub dostawały słabości; tu znowu Księży exorcystów, zaklinających czartów opętanych do milczenia; a kiedy na nich kładli relikwie, lub wodą święconą kropili, niesłychany krzyk, ryk i jęk wydawali i w ciele kontorsye i łamaniny robili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Legendy starego Marcina.

(Ciąg dalszy.)

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszéj Panny Maryi Gromnicznéj, ofiarowałem się więc, leżeć krzyżem w czasie nabożeństwa, całéj mszy tak wysłuchać na intencyą, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potém czasu dopełnić tego wotum.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się Trybunał, warta puściła go jako Deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowéj, w tłumie palestry i Panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potém szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknięto: — Warta! warta! —

Wtenczas ujrzeliśmy naszego Pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on tuzał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł Krajewski, Rotmistrz i Komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu gimejnów. — Kryminał! kryminał! — krzyczano ze wszystkich stron, krew ciekła z ręki Pana Dłuskiego, Deputata lidzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfixu, z rączką od figury Pana Jezusa srebrnego odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego Pana: bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego, gdy ten się uchylił, ciął po krucyfixie.

Porwał więc Krajewski ze swojimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i determinativus; porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także Deputat a sławny osiełek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest, nieśli gwałtem; to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszył, a ze złości pienił się i ryczał, od czci i wiary wexując cały Trybunał, a szafując djabłami, że aż uszy więdły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć excessanta, kryminalistę! (zawołał Morykoni do Krajewskiego), i wartować z ostrą bronią! —

Poznałem, że nieprzelewki! poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiéj, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem, ile on mógł wyskoczyć, do Nieświeża, szukając Xięcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blizko karczemki; kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem daléj; stanąłem w Nieświżu w nocy; dostukałem się do dworku znajomego mnie Doktora, i dowiedziałem się, że Xięcia Miecznika niéma, że polował aż w Białéj (1) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się daléj. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki, jechałem, prawda wygodniéj, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem Xięcia, a to w głębokich tamtejszych ostępach. Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, Xiążę jak oniemiał. — Panie Kochanku! krzyknął potém, Pan Michał sfiksował się! —

— Ratuj, Xiążę Panie, bo zginie! —

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niéma on po co popasywać w kraju. To excess niesłychany! —

Xiążę wraz zebrał myśliwstwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białéj.

Wielu godnych Panów i z sąsiedztwa i przybyłych z Xięciem polowało z nim razem, którym gdy Xiążę opowiedział, z czém przyjechałem, i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i Deputatów; inni, a między temi Pan Sołohub, nie odstępujący nigdy Xięcia, i bodaj przez ojca mu do konfidencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencyę Xięcia Hetmana. — Radzicie mi wszyscy, odezwał się rozgniewany Xiążę, jak tchórze i partacze! a Waść milczałbyś, rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie chcesz, Panie Kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno djabli pobrali. Mam zajechać do Xięcia Ojca? a toć Rybeńku nie puści mnie i za próg z zamku; każe Mazzaniemu (2) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i Xięcia Miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało? Czy Waść sam, Panie Kochanku, nie instancyonowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoję filozofię i morały, któremi mię codzień napastujesz, a z któremi schowaj się teraz. —

— Jednakowoż, mówiono Xięciu, Wołodkowicz po takim excessie sądu i kary ujść nie może, a spokojną i łagodną influencyą więcéj Xiążę dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na Trybunał, a zatém gorszym jeszcze excessem, który splami na zawsze honor i imię Xięcia, a zmartwi najmocniéj Xięcia Hetmana, ojca Waszéj Xiążęcéj Mości. —

— I nakoniec... — zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec? — przerwał mu rozgniewany Xiążę.

(1) Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

(2) Mazzani, Komendant tamtoczasowy zamku i fortecy nieświżskiéj.

— Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło Waszéj Xiążęcéj Mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacyą, a potém starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było. —

Xiążę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczał w zapędzie; odezwał się jednakże — Kossowski! a Waść co na to? —

Kossowski ten żyje i teraz przy Xięciu; Xiążę go lubi i z nim najczęściéj baraszkuje: bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko Xiążę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy, że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo; wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić Pana, i wyprosić pardon dla winnego, i w humor dobry wprowadzić. (3) Czasami nawet przytnie Xięciu; ale i to jemu uchodzi: bo Xiążę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie Xięcia odpowiedział: —

— Mnie się zdaje, Mości Xiążę, że jak zaczniem klin klinem wybijać, gdyby nas kliny nie rozparły. —

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec Xiążę, ja Pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel a corde! a ja mam spokojnie czekać, aż zginie? Nie! moi Panowie! nie! —

— Kulesza! (to był Łowczy Xięcia) ruszaj, Panie Kochanku, z całém myśliwstwem dniem i nocą do Kajdanowa; omijaj Nieświż; w Kajdanowie (4) roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojém, pociągniem w nalibockie lasy na dziki. —

Myśliwstwo nasze, mój Dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany széroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwóma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnéj kieszońce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki, fuzya także na zielonéj taśmie przez ramię, a przez drugie na takimże sznurze trąbka, przytém koń z całym moderunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na źwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby Xiążę którego złapał, dałby sforami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około Xięcia ze sto, nie licząc Łowczych i Podłowczych, bo my, jak Oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a to już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się w podróż. Na jednych wielkich saniach, łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał Xiążę z Panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym xiążęcym pokojowym, po cztéry konie gęsiorem w zaprzęgu.

Xiążę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom; ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy, bo taka ciemność, a zawieruchy tak straszne, mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło; nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kajdanowie. Znaleźliśmy już tam i Kuleszę z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedyńczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu... —

Córka przerwała dyskurs Pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadała z nami, ale często wybiegała do piekarni; pomagał jéj Marcin i przynosił potrawy, ale per modum jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknéj słuckiéj gliny, białéj jak farfura.

(3) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze Xięcia, bez żadnego innego obowiązku, jak Xięcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to trefniś z professyi, ale niejako locum tenens téj funkcyi. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z Xięciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie Król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże exemplarzem, zaprosił Xięcia na obiad, obowiązując, aby w assystencyi swojéj miał i Kossowskiego. Stało się jak Król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta, Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet kilkakrotnie przez kolegę, zbywał go niczém. Po obiedzie Król nie kontent z milczenia Kossowskiego. —

— Mówiono mi, rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniéj, co myślisz o moim faceciście, któregoś tak spokojnie słuchał? —

— Nie śmiém, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział, kłaniając się najpokorniéj Kossowski.

— Mów śmiało, proszę. —

— Bez ogródek? Najjaśniejszy Panie! —

— Bez ogródek. —

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen. —

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny Pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń: —

— Kossowski! bądź u mnie. —

— Jak to? z wizytą? —

— Nie, na rezydencyi. —

— A jakże nas dwóch pomieści się?... —

(4) Kajdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a sielanka na trzecie; a nakoniec przyniosła Panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole, — to, rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze X. Kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniéj lat dwie. Oj! znam się na tém! —

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban. —

— Lżéj mi teraz, widzisz Jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnéj gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tém wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, tego już nie spędzić. —

— Zdaje się, rzekłem, że i téj gosposi w krótce możesz się pozbydź, choć chwała Bogu innym sposobem. —

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów; ależ za to mogę nabyć na jéj miejsce dwie synowe. —

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem Panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potém gospodarzowi, za tak wyśmienite uraczenie, prosiłem o koniec historyi Wołodkowicza.

— Pójdźmy, mój Dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świeże sianko; odpoczniem trochę, a potém dopowiem Jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czémże stanąłem? — zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kajdanowie z Xięciem. —

— A tak. W Kajdanowie znaleźliśmy pełną karczmę Ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na Xięcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że w krótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli to: — Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, in triduo będzie rozstrzelany. —

— Nie doczekają! krzyknął Xiążę. Ja ich samych... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piłaty te! a Herody nie Sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otoż to twoje mądre consilia! Panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy djabli wzięli! Panie Kochanku! —

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży Waszéj Xiążęcéj Mości. —

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa, i skończy się na wieży fundowéj, z któréj Wołodkowicz uciecze. —

— Sapiehy bo niéma w Mińsku, odezwał się jakiś Jegomość. Vice-Marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie wraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent Xięcia Krajczego pchnął od siebie Tatara. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wraz się sam wybiéra do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać, że Trybunał pomiarkował coś z listu swego Marszałka, więc zaraz Dłuski, Deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę podciął, zrobił wniesienie; po czém nie schodząc z sądów, i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret poenam colli, to znaczy się: na gardło, i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali. —

— Więc ani minuty niéma do stracenia! zawołał Xiążę. Periculum in mora! Panie Kochanku! to znaczy się, niebezpieczeństwo... —

— Nie tłumacz mi Jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiém po łacinie. —

— Doprawdy? To ja piérwszego takiego Kwestarza widzę, który umie po łacinie. —

— A ja piérwszego Podłowczego. —

— I to prawda. No, to niechaj sobie — kwita. —

— Dziwi mnie także, rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz. —

— O! mój Dobrodzieju! nie także to dawno było; trzydziestu pono lat niéma; a ja, przegadując całą tę historyę nie sto razy i dzieciom swoim, i różnym tak jak Jegomość ciekawym, wyuczyłem się jéj na pamięć. —

Już tedy Xiążę miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe. —

— My za tobą, Xiążę! krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł Xiążę, że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, Panie Kochanku, i ja z tym! A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela. —

Wtém mocno zastukano do karczmy, a że pełną była, więc Żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatém w okno i zawołał ktoś: — A jest tu Xiążę Miecznik litewski?

— Jest, Panie Kochanku! A kto Waść taki? —

— Rupejko, dobry sługa Waszéj Xiążęcéj Mości. Jadę z Nieświża i pilno mi do Xięcia Pana. —

— A puścić Pana Podstolego — zawołał Xiążę.

Pan Podstoli Rupejko, sławny głowacz, Mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, lecz

zebrawszy znaczną substancyę, wyniósł się na Zmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem Xięcia Hetmana, a miał u Xięcia Miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że Xięcia złapałem. —

— Na wieki wieków, Panie Kochanku! A na co mnie łapiesz? i zkąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

Xiążę Hetman, ojciec Waszéj Xiążęcéj Mości, wié dokładnie quo ad horam obroty Xięcia; wiedział raptowny wyjazd Xięcia z Białéj, wiedział cały marsz armii myśliwskiéj i wszystkie noclegi a popasy samego Xięcia; dla tego wysłał mnie tu, wiedząc, że tu W. X. M. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Historya pewnego klasztoru, wypisana z rękopismu.

(Wyjątek z Wieczorów badeńskich J. M. Ossolińskiego, dotąd drukiem nieogłoszonych.)

Część pierwsza rycerska.

Wieku owéj cnotliwéj prostoty, kiedy to matka nie miała sobie ani za wstyd, ani za chlubę, karmić własnemi piersiami swoję niemowlę; a piastując je na łonie, nie kwasiła słodkiéj swojéj pociechy myślą, iż po jego latach, będą jéj rachować; siedziała sobie przy wieczornym chłodzie, przed wrotami pod lipą, Świętochna, żona rycerskiego Spicymira, z maluchną Jagną, jedynaczką swoją, na podołku; aż oto przechodzi cyganka, która postrzegłszy panią z dzieckiem, zaczęła wróżyć. Panienka jak wiosenna róża nadobnie się z pączka rozwija... Wzięła dziecinę za rączkę, ukazała pręgę wśród dłoni, rzekła: póty wszystko dobrze; tuż opatrując dalszą żyłkę, kiwnęła głową: co tu to skok, tak albo siak. Dajcie dozór pani matko. Jeśli nic złego mu się nie stanie, szczęśliwie się zestarzeje. Wzięła grosz, powiedziała Bóg zapłać... poszła, gdzie miała iść. Utkwiło Świętochnie w głowie owo cyganki: i tak i siak. Strzegła tedy Agniészki, chociaż i przy wielu niańkach i przy wielu piastunkach, rosła zdrowa w lata i urodę. Właśnie piętnastego roku dochodziła, kiedy Spytek, młokos pod sypiącym się wąsem, najawił się był w dom jéj rodziców, po drodze na wędrówkę w cudze kraje. Spicymir, ludzki jak zwyczajnie Polak, zatrzymał go dłużéj, niżliby ktokolwiek wytrwał był bronić się wdziękom przecudnéj Agniészki. Spytek tak też jéj urodą związany został, że się nie wydzierał. I gdy raz z rana poszedł był do Spicymira, nie poszedł po to, iżby się z nim żegnał, ale raczéj prosić go o jéj rękę; zdziwiło to starca; dopieroć to wam na świat miły panie Spytku, odpowiedział mu, a też moja dziewka jeszcze nie dościgła. Nie zestarzejecie się, chociaż rok i sześć niedziel poczekacie. Wprzódy starajcie popisać się na świecie, potém o więcéj pomówimy... Podawała miłość Spytkowi, jakie tylko mogła najstrzelistsze do Spicymira prośby, które zapewne byłyby zmiękczyły jego serce; ale babka przy śmierci zaklęła go była, córki Agniészki w stan małżeński wcześniéj nie wydawać, jak po skończonym szesnastym roku jéj wieku; bo ona sama poszedłszy w tym samym roku za mąż, szczęśliwego postanowienia doznała. Spytek nie miał czego czekać, i w saméj rzeczy wybierał się czémprędzéj swoje wyprawy odbyć, aby prędzéj powrócił. Ale jakieś czasy trzymały go przy Agniészce, żegnał ją co dzień, jednak dzień po dniu na tém schodził, że ją żegnał, a nie pożegnał. Aż raz gdy Agniészka przędła, i on rozgadawszy się plótł jéj a plótł o jakimś Burzyświecie, że wróciwszy z rycerskiéj włóczęgi pełny wór zdobytych sygnetów u nóg swojéj kochanki wysypał; wpadłszy mu w mowę, westchnęła: a ja też luby Spytku, kiedy jaki od was niezabud otrzymam? i powiedzą ludzie: ta Jagna nieladać ma Czerkięsa!... Płomień Spytka ogarnął, równemi nogami się zerwał, konia okulbaczył, wdział zbroję, i już ani słowa mówiąc, tylko ucałowawszy rękę Agniészki i oblawszy łzami, konia drgnął ostrogą; który, jak gdyby uczuł, że panu spieszno było jechać i wrócić się, kopnął się z wiatrem na wyścigi. Nie wstrzymywany też od niego, niósł go ubitym gościńcem, gdzie Laba (*), gdzie Ren, gdzie Dunaj płynie. Wszystkie te kraje zbiegając Spytek, kędykolwiek jakiego szaławiłę spotkał, obces go z kulbaki wysadzał, i na ziemię walił i obdzierał. Sława chociaż stogębna, znużyła się była wytrębowaniem jego czynów, które karpackie wierzchy wiernym odgłosem donosiły aż do uszu Agniészki. Miesiąc nie minął, a tyle już był burd napłatał, że ani więcéj przez kilka kanikuł Orland wściekły z miłości. Jeżeli ci, z których sława waleczności i przewag Spytka dolatywała, mniemali, iż wiek na téj wyprawie strawił. I samemu Spytkowi nie zdawał się krótszym ten czas. Odwrócił zatem konia wstecz, a jakożkolwiek gorąco pragnął stanąć jednym tchem przed obliczem ulubionéj Agniészki; poczciwy Rosynat, to było imię rumaka, równie pałał chęcią widzieć ich oboje, gdyby jeszcze można o téj chwili szczęśliwymi; zatem lubo przeładowany jukami, zgłodzony, znużony, już ledwo kroczył, przecież kiedy sobie dobrze o swojéj sile tuszył, zrywał się i na kłus, a gdy go pomimo téj gorliwości jeździec często nie ludzko zażywał, wprawdzie kiedy ostroga kłóła, w duchu złorzeczył losowi swemu, że mu rycerza i to zakochanego na grzbiet wsadził; wszakże kiedy zfolgował ból, znowu się dobruchał, krzepił się, że ta biada tém prędzéj się skończy, im prędzéj Spytka

(*) Elba po słowiańsku.

stawi u celu jego żądań. Nie knował pewnie żadnéj zemsty przeciw Spytkowi, tém mniéj brykał na Agniészkę. Atoli wypłatał obojgu niemałą sztukę, aczkolwiek bez swojéj woli i myśli. Dawni rycerze zachowywali ten sam zwyczaj, co dzisiaj Bernardyni, albo Kapucyni. Nie mijali komina, z którego się kurzyło; rumak zatém przywykłszy kąty cudze wycierać, gdy przypadał gościniec po pod bramę Hermana, jednego z najmożniejszych szwabskich Grafów, z nałogu obces sunął za wrota. Hrabia sprawiał nazajutrz turnieje, na urodziny córki swojéj Krystyny, zaczynającéj szesnasty rok, na które zgromadził się do niego orszak różnych rycerzów. Ci nie prędzéj po łysku zbroi postrzegli zdaleka swojego cechowego; jak wyszli na przeciw, wzywali dziś na puchary, jutro na drzewce.

Rad nie rad Spytek musiał zsieść z konia. U stołu przypadło mu miejsce obok saméj Hrabianki. Choćbym też pani i nieuprzedził, że Hrabianka była urody, o jaką drugą ciężko, pani byś się sama domyśliła, że w téj tu historyi żleby się wydawała każda, którąby rumieńcem róży nie wstydziła, białością lilii nie przechodziła, blaskiem gwiazd nie gasiła, czarnością włosa hebanowi piérwszeństwa nie brała!... Spytek ani na nią nie spojrzał, ani przemawia; osobą tylko przytomny, myślą był ztąd o sto mil od Agniészki. Jaki taki za zdrowie Krystyny puchar po pucharze duszkiem spełniał, u niego koléj więzła.

Otrąbiono nazajutrz turnieje; wywieszono zwycięzcom nadgrody. Te miała sama Hrabianka rozdawać, która zasiadłszy na górnym stopniu, zabrała głos, dziękując zgromadzonym rycerzom, że zacnemi swemi przewagami gotowali się dzień jéj urodzin wsławić. Parł tłum Spytka na czoło szykujących się do spotkanéj. Krystyna ukazywała złocisty pancerz, przeznaczony dla zwycięzcy w téj walce, a rzuciwszy okiem na Spycicka, szepnęła półgębkiem: kto ten pancerz zyska, ten i moję rękę otrzyma. Ani ta pobudka nie ocuciła Spytka. Nie wiedział o Bożym świecie. Już rycerz od Lwa, za piérwszym poskokiem zwalił był z konia rycerza z pod ciemnéj gwiazdy. Tego bitny Rytygier wyparł był z kulbaki, i Rytygiera jakiś Francuz tęgim przez brzuch płazem na wznak był strącił, a tego zaś Bliomberis, także od Sekwany, nie długo się guzdrając, z kwitkiem puścił. Szerzyła się bójka. Toż gdy rumak Bliomberisa, krnąbrny przeciwko wstrzymującéj uzdzie, uniosł go daleko od placu zawodu, zawsze za sobą się oglądającego i zdającego się wyzywać do pogoni. Czech Neklan suwał za nim; owego dzianet, wspierawszy się na dwie nogi, zwalił na ziemię, a i Neklan musiał zsiąść z swego, ażeby za pas porównać. Połamali drzewce. Szelest zbroi, szczęk żelaza kruszącego się o żelazo, tętęt, rzenie koni, wrzawa, okropny wzburzała hałas, odbijaniem się o skały i góry zdwojony. Atoli Spytek stał zawsze słupem, jak gdyby w téj stronie nie miał ani oczu, ani uszu. Nie widział tak, jak Bliomberis gipkością przewyższający krzepkiego i duższego Neklana, zwinąwszy się zręcznie, przez nogę go powalił; gdy ten brzęknął i gryzł piasek, brocząc go żółciową pjaną, ktoś w czarnéj zbroi, niosący na puklerzu opełtą różę, wpadł obces na Bliomberisa, ani sadząc się na korwety, uchwycił go za pierś, wołając: tuś mi zdrajco! Bliomberis szarpnąwszy się, nie tylko mu się z pięści wydarł, ale ukarał jego zuchwałość, wydzierając mu z drugiéj ręki oręż, i bezbronnego życiem darując. Zygfryd z Bambergu, który dotąd hardzie w rycerzach okiem brakował, upatrzył w Bliomberisie swojego. Achilles i Hektor uporniéjby nie walczyli. Oparli kolano o kolano, i długo zdawali się dwoma skałami, niby to walącemi się na siebie, przecież nieporuszanemi w miejscu. Już Sędziowie myśleli krwawą bójkę rozerwać i obydwóch za lepszych rozgłosić. Ale Zygfryd srogim kułakiem dojechał zapaśnika, że padł na ziemię. Zygfryd nadęty szczęściem, widząc jednego tylko Spytka, który się jeszcze z nikim nie mierzył, cisnął mu pod sam nos rękawiczkę. Ocucony tą szczutką Spytek, zerwał się, ani wiedząc kogo szuka, co czyni, w kogo mierzy, na oślep świsnął rochatyną, i ledwo jéj przyparł, już Zygfryd powalony w znak rękami obłoków sięga. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiersz.

Naśladowanie z czeskiego.

(*Sławy Caera, lyricko-epická bašen Kollara.*)

Jeszcze śpisz! najpiękniejsza z Laszek,
Snu Ci nie przerywa, nawet śpiewny ptaszek;
Daléj! w góry, w niebo, orły gońce!
Lećcie zgasić wczesne słońce!

Żegnam was błogie Lachów kraje!
Wy góry, wieże, świątynie złociste;
Strumyki szemrzące i milczące gaje,
I was roskoszne, o łąki kwieciste!

Żegnam i ciebie chatko uboga!
Co chowasz me nadzieje,
Niech w Tobie ma Laszka nieboga,
Po mnie drogich łez nie leje.

Żegnam i was o miejsca pociechy!
Może na wieki z wami się rozłączę;
Już, już.. nie widać méj strzechy,
Ścieszka tylko do niéj wije się po łące.

Śpiewem mię ptacy ogłuszcie!
Po górach i borach wiatry zawyjcie!
I łzy me z powiek osuszcie,
I smutek z serca wydmijcie! —

Kraków, dnia 16. Kwietnia 1845 roku.

J. Leszkowski.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)